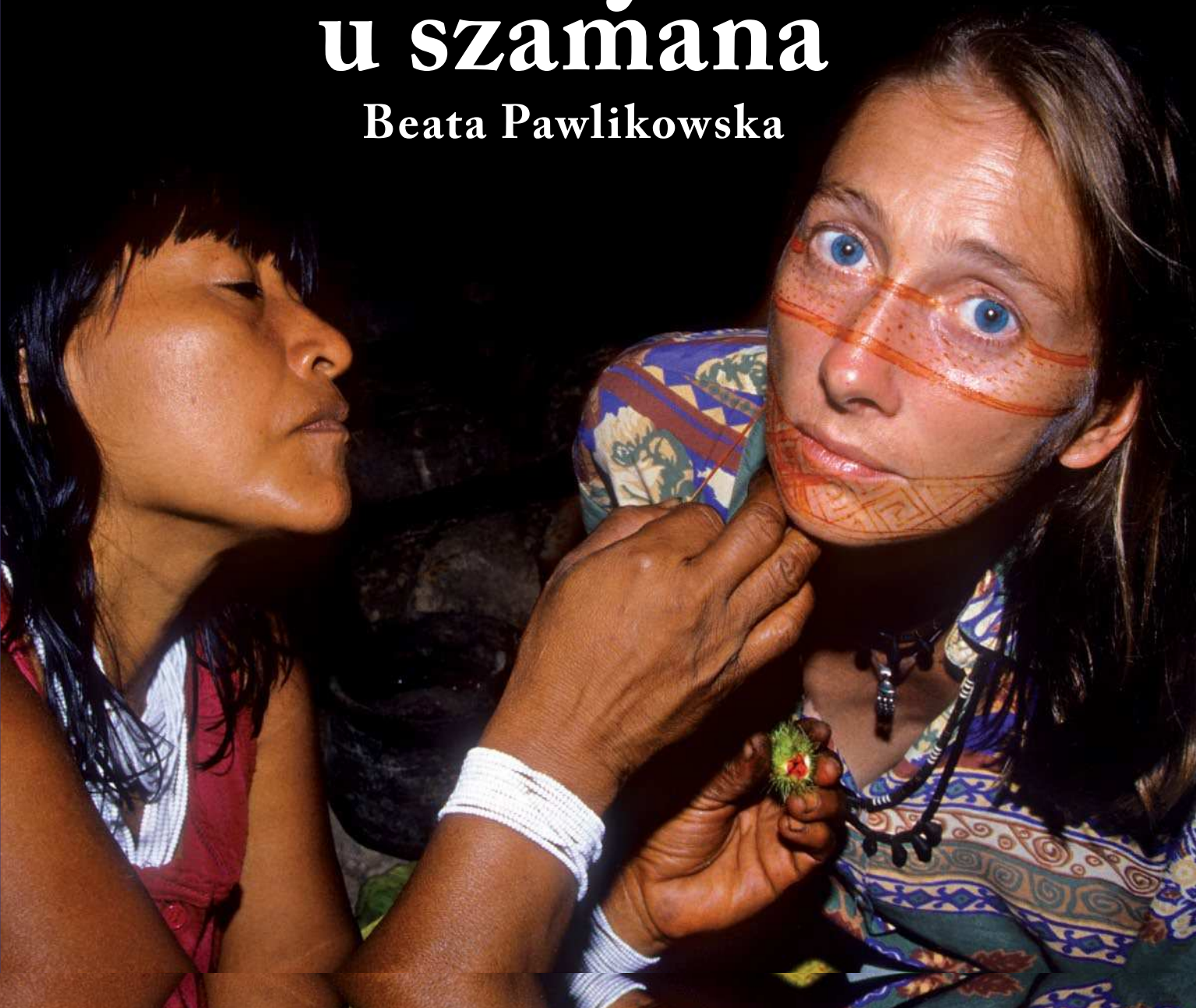


# Blondynka u szamana

Beata Pawlikowska





**Blondynka u szamana**



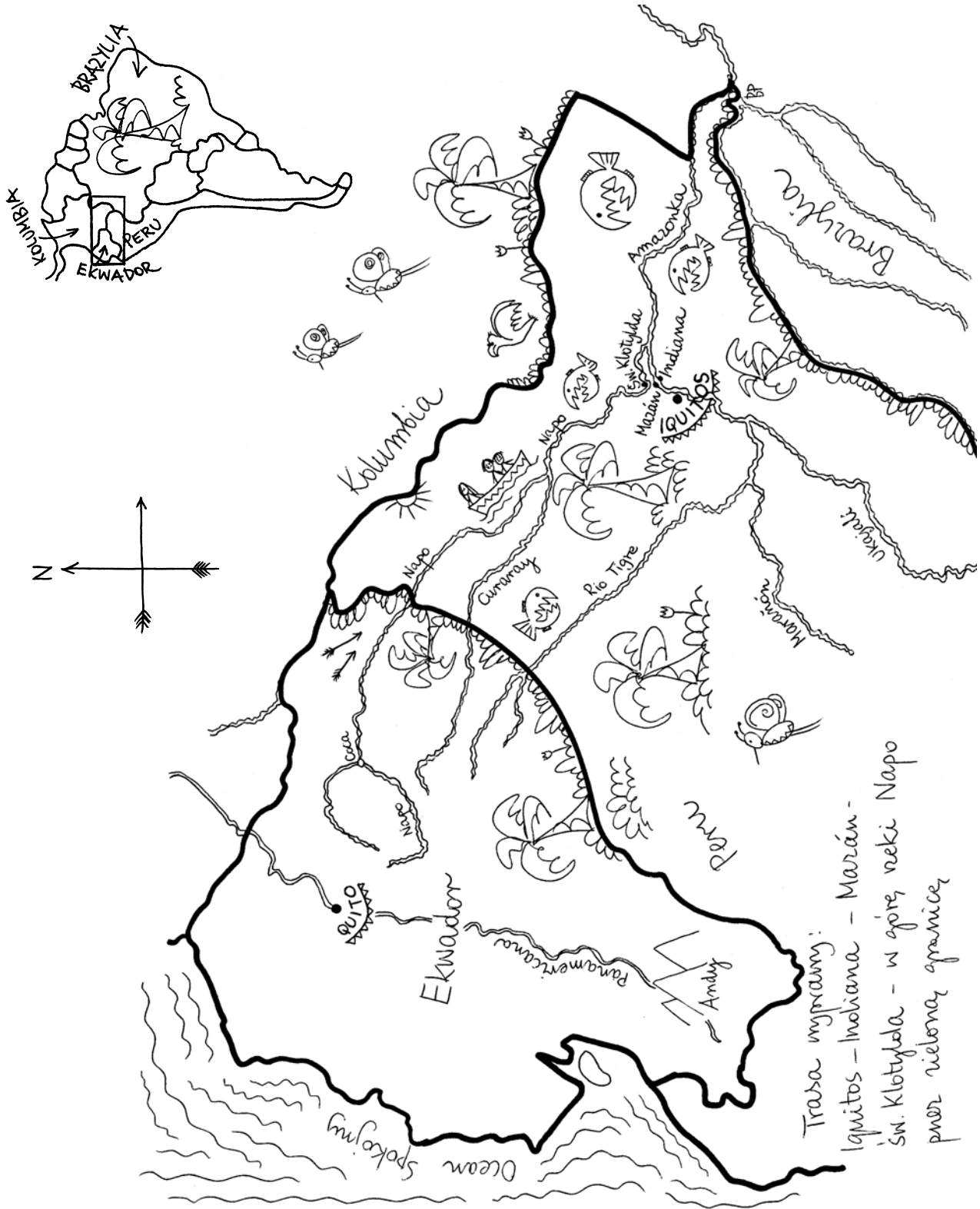
# Blondynka u szamana

TEKST, ZDJĘCIA I RYSUNKI

*Beata Pawlikowska*

**NA KRAŃCE ŚWIATA**

NATIONAL GEOGRAPHIC



Trasa wyprawy:  
 Iquitos - Indiana - Marañón -  
 św. Klotylda - w górę rzeki Napo  
 przez niebieską granicę

# Spis treści

<i>Misja Herkulesa</i>	7	<i>Tsentsak w matriksie</i>	119
<i>Lekcja cierpliwości</i>	11	<i>Każdy jest szamanem swojego losu</i>	127
<i>Czas przygotowań</i>	19	<i>Być oraz nie być</i>	135
<i>Szalony Mick</i>	25	<i>Drzewo Świata</i>	141
<i>Mój pierwszy występ z the Rolling Stones</i>	29	<i>Człowiek z rybą w brzuchu</i>	147
<i>Locomoryba</i>	35	<i>Rachunek za szczęście</i>	151
<i>Zające i banany</i>	39	<i>I stał się cud</i>	155
<i>Krok papugi</i>	43	<i>Lekarstwo konwaliowe</i>	159
<i>Dalej w dżunglę</i>	51	<i>Bogini Ayahuasca</i>	163
<i>Krewni jednorozca z amazońskiego lasu</i>	55	<i>Ta noc może być ostatnia</i>	177
<i>Jak Białas, pół-Indianin i Indianin razem wędrowali</i>	63	<i>The Doors, czyli Drzwi</i>	181
<i>Amazońska krowa w kropki bordo</i>	71	<i>Śmierć jest tutaj</i>	185
<i>Przypadkologia amazońska</i>	75	<i>Wiatr jest moim fryzjerem</i>	189
<i>Zupa z małpy</i>	79	<i>Przeminęło z wiatrem</i>	197
<i>W drodze do Zaczarowanego Lasu</i>	85	<i>Droga Mleczna i Krzyż Południa</i>	203
<i>Każde drzewo ma swoją tajemnicę</i>	91	<i>Indianie we mgle</i>	205
<i>Mick Jagger w dżungli</i>	99	<i>Dzika jest noc</i>	209
<i>Mam moc</i>	107	<i>Porfirio odchodzi</i>	217
<i>Melodia świata</i>	113	<i>Królowa jest naga</i>	223
		<i>Żelazna Magnolia</i>	227
		<i>Ekwador</i>	231





# Misja Herkulesa

Herkules miał w twarzy coś miłego. W pierwszej chwili pomyślałam, że to wrażenie daje blizna przecinająca mu policzek. Spotkaliśmy się w Żelaznym Domu w centrum Iquitos – mieście wybudowanym w dżungli nad Amazonką. Herkules po europejsku wyciągnął do mnie rękę, uścisnęliśmy sobie dłonie, spojrzałam mu w oczy i pomyślałam, że mogę mu zawierzyć swoje życie na najbliższy miesiąc. Będzie moim przewodnikiem. Zamówiliśmy dwie porcje sałatki z palmowych serc i opowiedziałam mu wstępnie jak ma wyglądać trasa. Ruszał brwiami, stukał palcami po stole, ale mało mówił. Chcę popłynąć kawałek Amazonką, potem w górę rzeki Napo i w ten sposób przekroczyć zieloną granicę między Peru a Ekwadorem.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam w końcu.

– Mmmm – odrzekł Herkules. – Mmmmm...

– Wiem, że to trochę niebezpieczne – dorzuciłam wyjaśniająco.

Peru i Ekwador od dawna prowadziły między sobą wojnę o linię, wzdłuż której powinna przebiegać granica. Kilka tygodni przed moim przyjazdem do Iquitos we wszystkich gazetach pisano o peruwiańskim żołnierzu, który poległ w walce z oddziałem ekwadorskim. Pisano też, że Ekwador – czując się niepewnie co do swojej siły i nieprzepuszczalności straży granicznej – kazał zaminować duży pas ziemi po swojej stronie granicy. Na tę wieść Peru zaminowało ziemię po swojej stronie. Wynikało z tego, że gdziekolwiek człowiek się ruszy, zostanie wystrzelony w powietrze – z tą tylko różnicą, że mina będzie ekwadorska albo peruwiańska.

– Podobno podróżowałeś w pobliżu granicy z Ekwadorem – powiedziałam po chwili milczenia, które stawało się coraz bardziej kłopotliwe.

Herkules żywo pokiwał głową i w oczach zapaliły mu się iskierki.

– *Si, si* – odrzekł od razu. – *Si!*

– Znasz dobrze rzekę Napo?

– *Si, si* – wymamrotał, ale jakby mniej pewnie.

Podniosłam rękę, żeby wezwać kelnera i poprosić go o butelkę wody mineralnej, bo od sałatki zrobiło mi się sucho w ustach. Kelner mnie jednak chyba nie zauważył, natomiast Herkules wystrzelił nagle od stołu jak rakieta, po czym lotem ślizgowym opadł na podłogę i zaczął muczeć jak krowa. Przestraszyłam się. Dlaczego Indianin o spokojnej twarzy nagle próbuje fruwać w restauracji i dlaczego po wylądowaniu wydaje mu się, że jest bydlęciem łakowym?...



Wlazłam pod stół. Popatrzyliśmy sobie prosto w oczy, a potem Herkules pokazał palcem na swoje usta. Zęby miał sklezione czymś białym. Pokazał na swoją stopę, która puchła jak bańka. Następnie pokazał na niebo, z którego zwieszała się trochę zirytowana twarz jegomościa w granatowym ubraniu.



Wytknęłam głowę ponad stół i zapytałam jak gdyby nigdy nic:

– Słucham pana?

– Czy wszystko w porządku? – zapytał takim tonem, jakby był właścicielem lokalu.

Siedziałam pod stołem obok ryczącego Indianina, trzymając w rękach jego spuchniętą stopę.

– Tak – oświadczyłam bez mrugnięcia okiem. – Wszystko w porządku.

– A w takim razie, jeżeli wszystko jest w porządku – powiedział jegomość wachlując się skrajem obrusa i starając się nie dać po sobie poznać co o mnie myśli – to przepraszam.

Była to jedna z takich sytuacji, kiedy człowiek woli skryć się przed ludzkimi oczami, które wścibsko gapią się ze wszystkich stron. Czym prędzej więc wróciłam pod stół i opuściłam za sobą kotarę milczenia – czyli obrus. W mroku błyskały na mnie uśmiechnięte zęby Herkulesa.

– *Que pasa?*<sup>1</sup> – zapytałam najzwyczajniej w świecie.

Herkules zbulgotał, zamruczał i uczynił zębami jakiś przerażający gest, po czym niewyraźnym szeptem odpowiedział:

– Pszszepaszszam. Mam sklezione uszta.

Nagle pod stołem zrobiło się jasno. To moje oczy zrobiły się wielkie jak talerze i zaświeciły ze szczerego zdumienia. Herkules dorzucił wyjaśniająco:

– Od gumy do żżżucia.



Herkules nie był jedynym przewodnikiem w mieście. Codziennie na ulicy wśród huku motorowych riksów zaczepiał mnie jakiś bardziej lub mniej indiański przewodnik ofiarując swoje usługi i namawiając, żebym wybrała się zobaczyć „prawdziwą dżunglę”. Nie tłumaczyłam, że „prawdziwą dżunglę” znam, bo spędziłam w niej kilka lat, ale zadawałam jedno czy dwa kluczowe pytania w rodzaju:

– Jakiego silnika używasz do łodzi?

Albo:

– Jaka jest twoja dniówka przy wyprawie trwającej sześć tygodni?

Zwykle na tym rozmowa się kończyła. Przewodnicy ubrani w nowe dżinsy ze skórzanym paskiem i błyszczącą klamrą, adidasy i kraciastą koszulę z krótkimi rękawami odpadali na samym początku. Najczęściej pracowali w biurach podróży, które zarabiały na organizowaniu standardowych wypadów do dżungli dla spragnionych egzotyki turystów z Europy: trzy do siedmiu dni na rzece,



1) *Que pasa?* (hiszp.) – zależnie od sytuacji może oznaczać: „co się dzieje?”, „co się stało?”, „o co chodzi?”, „co z tobą (z wami itd.)?”. Zadając to pytanie Herkulesowi miałam na myśli: „Co jest grane?”.



łowienie piranii, spanie w hamakach i nocne polowanie na kajmany. I przewodnik oczywiście mówiący po angielsku. Dziękuję bardzo. Ja szukałam kogoś, kto jest samodzielny, ma doświadczenie, jest zdecydowanie indiańskiej krwi i absolutnie nie zna angielskiego. Taki był Herkules.

Miał płaską twarz przeciętą blizną, wąskie skośne oczy, czarne włosy i zawsze pakował się w największe kłopoty. Ze wszystkich ludzi na świecie, które przyszłyby do Żelaznego Domu na obiad i zamówiły sałatkę z palmowych serc, tylko jedna z nich natknęłaby się na swoim talerzu na czyjąś gumę do żucia. Właśnie Herkules. I mało kto w tej sytuacji nie zauważyłby tej gumy, włożył ją sobie do ust i został nią zaklejony na amen. Tylko Herkules. I nikogo innego podczas spokojnego obiadu nie ucięłaby na dokładkę mrówka ognista. Ale Herkulesa tak. Dlatego zaczął ryczeć jak krowa i dlatego odskoczył jak oparzony od stolika. Znając go pewnie na dobitkę poślizgnął się na jedynej w całym mieście skórcie od banana rzuconej tamtego dnia na ziemię i tak wylądował na podłodze. Był największym pechowcem, jakiego zdarzyło mi się dotąd spotkać, ale tamtego dnia w Iquitos jeszcze o tym nie wiedziałam. Wieczorem uzgodniliśmy warunki i wyznaczyliśmy początek wspólnej wyprawy na 16 marca, piątek.

W kwietniu mieliśmy dotrzeć do Ekwadoru.

*Marzyłam tylko o tym,  
żeby znów wrócić  
do dżungli.*







## *Lekcja cierpliwości*

Było późne amazońskie popołudnie i lał deszcz. Przez cały dzień było tak parno, że powietrze kleiło się do skóry jak gorący kisiel. Potem zrobiło się mroczno, nadciągnęły chmury i zaczęło lać. Stałam w szarym pustym porcie na wielkiej żelaznej platformie puszczonej na wodę. I czekałam na łódź.

Wypłynęłam z Iquitos tego samego ranka, gnana – jak zwykle – chęcią przygody, za którą dotarłam aż do tej mikromiejscowości, gdzie psy z nudów ścigały się z muchami. Tutaj miał mieszkać szaman Indian Yagua, który chętnych leczy naparami własnego pomysłu. Obejrzenie całej osady zajęło mi mniej więcej dziesięć minut. O szamanie nikt nie słyszał. Być może Herkules pomylił nazwy wiosek albo ja pomyliłam łodzie, albo łodzie pomyliły trasy. W każdym razie wylądowałam w miejscu, z którego jak najszybciej pragnęłam się wydostać.

Dochodziła pierwsza po południu. Zgodnie z planem łódź-taksówka miała przyjechać o drugiej. Wkrótce przyszli pozostali pasażerowie: pani w chustce zrobionej z plastikowej torebki, Indianin w dziurawych kaloszach i o nagim torsie, po którym spływały strugi deszczu; i zabłąkany chudy pies. Wszyscy przybyli tu, aby c z e k a ć. To jest jedna z podstawowych umiejętności, jakie należy posiadać w Ameryce Południowej. Czekają na spóźnionych gości i na spóźniających się gospodarzy, czeka się na towar, który miał dojechać przed tygodniem, czeka się na kierowcę autobusu, na list wysłany rok wcześniej, na opóźniony o kilka godzin odlot samolotu. Czekają też na załatwienie każdej nawet najprostszej sprawy, bo złożone dokumenty muszą odleżeć pewien czas i odczekać aż pokryje je dostojny urzędniczy kurz. Nie ma pośpiechu. Czego się nie zrobi dzisiaj, zrobi się jutro. Zawsze przecież jest jakieś „jutro”. Kiedyś nadejdzie to właściwe i wtedy sprawa zostanie załatwiona, towar dostarczony, sklep otwarty, autobus naprawiony, a samolot gotowy do startu. Do tego czasu trzeba czekać. Łódź-taksówka miała przyjechać o drugiej. „O drugiej” dla Latynosa może równie dobrze oznaczać „o pierwszej” lub „o trzeciej”. Dlatego przyszłam do portu znacznie wcześniej, zwinęłam się w pelerynę przeciwdeszczową i rozpoczęłam czekanie.

Deszcz lał równymi strugami. Pani w torebce plastikowej na głowie była mokra od stóp do szyi. Półnagi Indianin błyszczał jak naoliwiony, a krótkie czarne włosy sterczały mu na głowie jak kolce jeża. Pies zwinął się w kłębek pod ławką i udawał, że śpi. Tylko rzeka gnała przed siebie nie zważając na nic, naładowana



świeżą wodą, rozpedzona, szara jak stal i równie zimna. Na brzegu roślo kilka gęstych drzew i pod nimi usiłowaliśmy się schować przed deszczem, ale od czasu do czasu ktoś schodził nad rzekę i wyglądał czy widać już zbliżającą się łódź.

Ale Amazonka była pusta i cicha – jeśli nie liczyć wścieklej ulewy walącej o wodę.

O drugiej zesłiliśmy wszyscy na platformę, tak na wszelki wypadek. Czasami podczas brzydkiej pogody statki płyną przed siebie i nie chce im się zatrzymywać. Minęło wpół do trzeciej. Zaczęłam odczuwać lekki niepokój. W osadzie nie było żadnego hotelu ani gościnnej chaty. Nie zabrałam ze sobą hamaka. Nie miałam do jedzenia nic oprócz bułki w kształcie krokodyla, którą kupiłam rano w porcie. Do najbliższego miasta – Iquitos – jest wprawdzie tylko trzydzieści kilometrów, ale nie można do niego dojechać żadną drogą. Jedyna trasa prowadzi po rzece i motorówka, na którą wszyscy czekaliśmy, powinna ją pokonać w 50 minut.

Trzecia po południu. Z oddali zdaje się dobiegać lekki szum. Popatrzyliśmy na siebie z nadzieją. Po kilku minutach podpłynęła do nas zardzewiała krypa przykryta dachem z blachy i desek. Poruszała się ostrożnie i w żółtym tempie, jakby się bała rozpaść na kawałki. Do Iquitos dotrze za dwie godziny. Indianin się zawahał, ale pani ubrana w torebkę plastikową uspokoiła nas, że za chwilę przyplynie motorówka dwa razy szybsza i wygodniejsza. Pies pod ławką nawet nie otworzył oczu. Pomachaliśmy kapitanowi, żeby nie stawał, tylko płynął sobie spokojnie dalej. Krzyknął coś, co utonęło w deszczu i warkocie silnika, a potem zlało się w jednolitą szarość z deszczem i rzeką.

Czas włókł się jak leniwy wąż po pustyni. Patrzyłam na mokre liście zwisające z drzew, na ciężkie niebo, na rosące błoto i na błyszczące od wody barierki żelaznej platformy. W końcu nawet chyba zamknęłam oczy i zapadłam w krótką drzemkę, z której wyrwała mnie lodowata kropla deszczu na plecach. Gdzie jestem?! I dlaczego na mój widok ludzie uciekają w przeciwnym kierunku?... Otrzeźwił mnie najcudowniejszy z wszystkich dźwięków: narastający warkot pędzącej motorówki. To dlatego wszyscy rzucili się biegiem do platformy. Ja też! Zaczęliśmy machać rękami, śmiać się do siebie, pani z torebką na głowie powtarzała co chwilę:

– Mówiłam, że zaraz przyjedzie! Mówiłam! Wiedziałam, że ta motorówka zaraz tu będzie!...

Kiedy łódź wyłoniła się zza zakrętu, byliśmy już wszyscy jak starzy przyjaciele – łącznie z mokrym psem, który coraz bardziej intensywnie pachniał<sup>2</sup>. Poczułam, że z serca spada mi gład niepewności. Rąbnął mnie w duży palec od stopy tak, że aż się zgłębłam z bólu.

– Przepraszam! – zaszczębiotała pani ubrana w torebkę i schyliła się czym prędzej po siatkę, która wypadła jej z ręki.

2) „Pachniał” to może nie jest najlepsze słowo. Jego mokra sierść cuchnęła na kilometr. Teraz zrozumiałam dlaczego od pewnego czasu krył się pod ławką.



– Nie szkodzi! – odrzekłam beztrąsko. Z palcem czy bez, najważniejsze, że za godzinę będę w suchym i miłym hotelu, zjem ananasa na kolację i pójdę spać.

I wszystkim chyba śpieszyło się nie mniej, bo zaczęli na całe gardło wrzeszczeć z radości. Chwyciłam za plecak, zarzuciłam go sobie na ramię i przygotowałam się do zejścia na pokład, gdy nagle uświadomiłam sobie z lodowatym dreszczem, że warkot silnika już nie narasta, ale jakby... się oddala!... Jak to?!... Spojrzałam na panią w torebce na głowie, która bardziej teraz przypominała wyglądem zimowy kozuch, bo całkiem zbaraniała. Indianin ze stoickim spokojem wylewał wodę z dziurawych kaloszy. Pies szczekał. A ja wrzeszczałam.

Motorówka nawet nie zwolniła. W pełnym pędzie przepłynęła obok nas i pognęła w siną dal.

Zostaliśmy we czwórkę na żelaznej platformie w lodowatym deszczu nad Amazonką. Sami i zupełnie bezradni.

W pierwszej chwili byliśmy wszyscy tak oszołomieni, że zachowaliśmy się jak pluszowe króliki, którym z pleców wyjęto baterie: znieruchomieliśmy z głupimi wyrazami na twarzach. Kiedy nie ma łodzi, nie ma też nas. Może uda nam się wytrzymać tak bez ruchu i bez czucia do następnego dnia i do pierwszej motorówki jutro rano?...

– Ta była ostatnia – wyszeptała pani w torebce na głowie.

Żegnaj hotelu, żegnaj ananasie, żegnaj dachu nad głową. Co teraz?... Stać w porcie z nadzieją, że przestanie padać?... Iść do wioski składającej się z trzech chat pełnych dzieci i dorosłych? Spędzić noc w lesie?...

Na szczęście niedługo potem deszcz przestał padać. Myślę, że to zasługa ławki, która wystosowała do niebios i do psa uprzejmą prośbę o zaprzestanie podlewania. Rozpatrzone ją pozytywnie.

Minęła czwarta po południu. Powietrze było ciężkie i tak pełne wilgoci, że ryby z Amazonki wychodziły na spacer na ląd. A może mi się zdawało... Przetarłam oczy. Znowu coś szumi i huczy, jakby w wiosce ruszyła fabryka złudnych nadziei. Pani w torebce na głowie też coś usłyszała i rzuciła mi czujne spojrzenie. Jej się chyba też zdawało, że to halucynacja. Ale dziwny szum narastał. Teraz nawet dokładnie mogłam go umiejscowić: dobiegał od strony rzeki. Może to ryby mają wesele...

– Łódź! – ryknęła pani i zdarła sobie torebkę z głowy, żeby lepiej słyszeć. – To jest na pewno jakaś łódź!

– Łódź? – powtórzyliśmy jak echo z Indianinem.

– Łódź! – sapnęła pani zwijając usta w trąbkę, jakby to mogło zwiększyć moc jej uszu. – Słyszę ją bardzo dokładnie!

Przyznam, wstąpiła w nas nowa nadzieja. „Nie jest tak źle” – pomyślałam. Wprawdzie nie przyjeżdżają łodzie przewidziane w rozkładzie, ale za to przyjeżdżają inne, o których nikt wcześniej nic nie wiedział. Uroki źle działającego

